



Kontynuacja losów bohaterów powieści *Goodbye, Love*

STAY, *my Love*

Winter Love #2

MARTYNA KELLER



Copyright ©
Martyna Keller
Wydawnictwo NieZwykłe
Oświęcim 2023
Wszelkie Prawa Zastrzeżone
All rights reserved

Redakcja:
Anna Adamczyk
Korekta:
Karina Przybylik
Karolina Piekarska
Katarzyna Olchowy
Redakcja techniczna:
Paulina Romanek
Projekt okładki:
Paulina Klimek
Autor ilustracji:
Marta Michniewicz

Druk i oprawa:
Abedik S.A

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8320-602-8

MARTYNA KELLER

STAY, MY LOVE

WINTER LOVE #2

OŚWIĘCIM 2023

*Dla tych, którzy musieli powiedzieć
„żegnaj” o jeden raz za dużo*

PROLOG



RYDER

Moja Love naprawdę rozpułynała się w powietrzu.

Wysiadam pospiesznie z range rovera, grzęznąc podszwami butów w topniejącym śniegu, który pokrywa betonowy parking. Nie sięgając po płaszcz – ani nic, co w tej sekundzie nie wydaje mi się tak istotne jak odnalezienie tej jednej rzeczy w gabinecie – ruszam pędem do budynku, wsłuchując się w odgłos chlupoczącego pod nogami błota i swój szybki oddech.

Siedząca za kontuarem recepcji Elise podrywa głowę od razu, gdy chwytam za klamkę drzwi i przechodzę przez próg. Wygląda na zbitą z tropu, kiedy przecieram dłonią usta, a później zaczynam przeszukiwać kieszenie garniturowych spodni w poszukiwaniu pęku kluczy.

– Ryder? – dziwi się. – Zaraz zamykamy. Po co wpadłeś tak późno?

Odnajduję zgubę i po tym, jak wypuszczam ze świstem powietrze, odwzajemniam spojrzenie recepcjonistki.

– Właściwie to czegoś szukam i muszę przetrząsnąć cały gabinet. Pewnie trochę mi z tym zejdzie, więc możesz wyjść o swojej porze, ja zamknę poradnię – odpieram neutralnym tonem.

Elise wstaje i uśmiechając się, kręci głową z pobłażaniem.

– A ja sądziłam, że jesteś przykładem okropnego pedanta.

Po tych słowach kobieta mruga do mnie porozumiewawczo, a następnie kuca, by dosięgnąć szuflad znajdujących się pod

blatem. Ja w tym czasie zaciskam szczękę i przemykam przez korytarz.

Tak się składa, że wszystko w moim gabinecie jest perfekcyjnie uporządkowane. Musiałem gdzieś jednak upchnąć ślad po tym, że Love Porter była moją pacjentką przez kilkanaście dni. Ślad w postaci notatnika, na którym widniał jej inicjał wraz z nazwiskiem.

Szlag, nie cierpiałem wracać do tego pamięcią. Do tych grudniowych wieczornych spotkań, które nie powinny dojść do skutku. Tyle że tej nocy muszę do nich wrócić, bo pewne wnioski dotyczące Love mogą mi się przydać.

Przechesuję dłonią włosy, ignorując fakt, że są wilgotne od śniegu. Sterczałem pod budynkiem, w którym pracuje Love, dość długo. Później upewniłem się, że nie ma jej również w bliźniaku. A teraz wparowuję do swojego gabinetu, mając w głowie scenariusz, który jeśli okaże się prawdziwy, porządnie mi dokopie.

Bo jeszcze niedawno zapewniłem ją, że do *niego* nie wróci.

– Nie mogłem cię zapodziać, nie teraz... – mamroczę sam do siebie, przetrząsając różne zakamarki z wiedzą, że ten notes to moja deska ratunku.

Ciemności spowijają pomieszczenie, ale światło księżyca wpadające do niego przez szklaną ścianę, za którą roznosi się panorama wciąż zaśnieżonych gór, daje mi pewien ogląd na sytuację. Przemykam od mebla do mebla. Wertuję segregator za segregatorem. W międzyczasie słyszę nieco stłumiony trzask drzwi. Inny terapeuta najpewniej idzie w ślady Elise i opuszcza właśnie poradnię. Zostaję w niej więc tylko ja.

Prostuję się i splatam ręce na karku. Nie mogę odpuścić sobie informacji dotyczących życia mojej Porter w Nevadzie. Tych, które w dużej mierze są zapisane na stronach notesu. Mam wrażenie, że naprawdę mi się przydadzą.

Jestem bowiem pewien, że to przez Aarona Chatfielda Love zapadła się pod ziemię. W końcu w ciągu ostatnich tygodni ten

sukinsyn szukał z nią kontaktu. Mało tego, ona sama wspominała, że miał w tym cel. Chciał, by do siebie wrócili. Gdyby tak się stało, oprócz niej zyskałby również jakieś żalosne korzyści związane z firmą ojca.

Odkąd o tym usłyszałem, starałem się ją chronić. Podążałem za nią niemalże krok w krok. Przywoziłem ją i odwoziłem, czy to do pracy, czy na lekcje baletu. Miałem ją na oku. Ale w ogólnym rozrachunku moje starania i tak nie okazały się, cholera, efektywne.

Opuszczam sfrustrowany ręce i podwijam rękawy białej koszuli. Z trudem trzymam wściekłość w ryzach. Z tak wielgachnym trudem trzymam ją w ryzach, bo jeśli kierunek, który obierają moje myśli, jest słuszny, Love znów będzie przeżywać koszmar ze swoim apodyktycznym ojcem, agresywnym bratem i bezdusznym byłym facetem.

Sznuruję usta w kreskę i podchodzę do ciężkich zasłon, które dawno nie były używane. W dalszej kolejności podrywam brodę i przesuwam spojrzeniem po elektrycznym karniszu. To musiałby być desperacki krok, bym upchał notes tam. Ale wtedy – chcąc wyprzeć z głowy spotkania z Love – chyba mogłem się na to porwać.

Robi mi się jeszcze cieplej, gdy dobywam stamtąd swoją zgubę. Otwieram notatnik. Od razu biorę się za śledzenie wzrokiem stron uzupełnionych podczas pierwszej rozmowy z Porter. Stolica Nevady. Stamtąd wyniosła się do Aspen i tam *on* mógłby zabrać ją z powrotem.

Czytam w pośpiechu kolejne zapiski. Wszystkie myśli w mojej głowie zdają się za sobą pędzić i brać udział w jakiej chorej gonitwie. Ten bałagan, który we mnie siedzi, narasta. Narasta i narasta, nie zamierzając pozwolić mi na chociażby moment wytchnienia. Wiele przemawia za tym, że to zrobiłem.

Dałem się, kurwa, podejść.

Mocniej ściskam pomiędzy palcami notes, a później wściekły ciskam nim w obitą skórą sofę. Obserwuję, jak przedmiot odbija się od siedzenia i łąduje na panelach. Moja klatka piersiowa unosi się i opada w ekstremalnie szybkim tempie, kiedy zastanawiam się nad tym, co dalej. Nie zrobię nic w pojedynkę, jeśli mam do czynienia z nadzianym i ostro popieprzonym Aaronem Chatfieldem.

Biorę jeszcze kilka uspokajających wdechów i schylam się po notes. Następnie przysiadam na krawędzi biurka i mimowolnie tupiąc nerwowo podszwą buta o podłogę, ponownie zaczynam śledzić baczny spojrzeniem tekst. Zupełnie zaabsorbowany własnymi zapiskami, próbuję ignorować zmęczenie, które zaczyna mi doskwierać wraz z upływającymi kwadransami.

Po dłuższym czasie po raz ostatni omiatam wzrokiem widok rozpościerający się za oknem i z notesem pod pachą szybkim krokiem kieruję się do drzwi gabinetu, a później tych głównych, które zamykam właściwym kluczem. Nic tu po mnie. Mam, co chciałem.

Wiosna tradycyjnie, jak to w Aspen, daje w kość. Ale nawet niskie temperatury nie zdzierają ze mnie gorąca, które odczuwam w każdym skrawku ciała, kiedy idę do range rovera. Wyjeżdżając z parkingu, nie włączam radia. W towarzystwie zgiełku ulicy docierającego do wnętrza auta przez uchyloną szybę wracam do domu.

W nim witają mnie Gargamel i Klakier. Nawet oni odczuwają brak Love, bo drapią w drzwi, jakbym przynajmniej ukrywał ją za nimi, a ona miałyby zaraz wejść do środka i zaoferować im pieśczęty. Od razu czuję, jak w gardle wyrasta mi pierdolona gula. Ta noc będzie męczarnią. Jeśli jestem o czymś przekonany, to o tym, że nie zmruję oka. A także o tym, że żadna myśl nie rozszarpywała mnie na liche strzępy tak jak ta, że straciłem swoją Love.

Po tym, jak cudem przełykam resztki śliny w ustach, mówię cicho:

– Chodźcie, dam wam kolację.

Wypowiadam te słowa i ruszam do kuchni, ale ani Klakier, ani Gargamel nie podążają za mną. Zamiast tego pies kładzie się tuż przed drzwiami, zaś kot siada na komodzie, co jestem w stanie zobaczyć, kiedy odwracam głowę przez ramię na krótki moment.

Ucisk w mojej klatce piersiowej narasta. Na powrót wbijam wzrok przed siebie, krzywię się i podchodzę do blatu, na którego krawędziach zaciskam mocno palce.

– Odnajdę ją – mówię zbolalym tonem pod nosem. – Odnajdę i sprowadzę do domu. Będzie tak jak kiedyś. Muszę tylko... zastanowić się przez moment – kończąc, zwieszam żałośnie głowę i opieram na wyprostowanych rękach cały ciężar ciała. – Przez krótki moment...

Przymykam powieki. Wszystko mnie dekoncentruje.

Otwieram oczy i odbijam się gwałtownie od blatu. Moje ruchy są nieskoordynowane, kiedy przygotowuję Klakierowi i Gargamelowi kolację. Sam nie zdołam nic przełknąć, ponieważ niepokój poniewiera mną jak szmacianą lalką.

Snuję się po domu niczym duch, idąc raz w jedną, raz w drugą stronę. Przecierając po raz kolejny strudzoną twarz, mam ochotę wydobyć z siebie głośny ryk. Taki, który pomógłby mi pozbyć się wrażenia, jakby wszystko we mnie gniło wraz z nieobecnością Love.

Przechodzę na taras. Siadam na najwyższym stopniu schodów i po dłuższym namyśle wyciągam telefon z kieszeni, by wystukać wiadomość z prośbą o spotkanie do pewnej osoby. Później odkładam go na bok i dostrzegam stojącego przy mnie psa z patykiem w pysku. Biorę od niego gałąź i z całej siły rzucam nią daleko, w głąb skrytego w ciemnościach ogrodu.

Bezradność nadal jest tak samo cholernie frustrująca. Z taką samą siłą jak niegdyś wyżera mnie od samego środka.

Znajome zmęczenie ponownie odzywa się gdzieś we mnie. Z grymasem wymalowanym na twarzy i mętlikiem w głowie opieram przedramiona na zgiętych kolanach i splatam palce, zaciekłe myśląc i myśląc.

Myśląc nad tym, co mogę zrobić.

– Szkoła baletowa, uczelnia, a nawet lokalna wyprzedaż garażowa z hasłem przewodnim „ozdoby świąteczne” – słysząc znajomy, przygnębiony głos, zerkam za siebie na przechodzącego przez próg tarasu z rękami włożonymi do kieszeni bluzy Kaydena. – Nigdzie jej nie znalazłem, a w ostatnim miejscu pokładałem spore nadzieje.

Przesuwam w zamyśleniu kciukiem wzdłuż grzbietu nosa.

– Ja raczej nie pokładam jej już w żadnym miejscu, które mogłoby ją skusić – przyznaję zupełnie szczerze, gapiąc się beznamiętnie gdzieś przed siebie.

– To znaczy? – dopytuje Graves.

Chłopak siada obok mnie i wyręcza w rzuceniu patyka, gdy podbiega do nas Gargamel.

– To znaczy, że mam silne przeczucie, że Love nie wybrała się nigdzie dla rozrywki – odpowiadam mrukliwie. – A nawet takie, że została wplątana w jakąś beznadziejną farsę.

Przypominam sobie moment, w którym Love powiedziała mi o tym, że Aaron chce ją z powrotem. A wszystko po to, by ojciec oddał mu firmę wedle jakiejś głupiej umowy, którą pomiędzy sobą zawarli. Przypominam sobie, co jej na to odpowiedziałem: *nie wrócisz do niego.*

Od razu spluwam rozdrażniony na trawnik i klnę siarczyście w duchu.

– Jaśniej, Ryder – ponagla mnie Kayden, a ja w końcu na niego spoglądam.

– Byłeś pierwszą osobą, przed którą Love otworzyła się po przyjeździe do Aspen, prawda? – pytam, skrupulatnie badając wzrokiem jego wyraźnie niespokojną twarz.

Graves pociera nerwowo dłonie o siebie, kiwając głową w geście potwierdzenia.

– Tak – dorzuca jeszcze na głos.

– Zdradziła ci coś o swoim bracie, ojcu – kontynuuję, a kiedy przychodzi pora na dodanie jeszcze kogoś, czuję, jak z marszu zaczynają świerzbić mnie ręce. – O Aaronie.

Kayden przenosi wzrok na swoje buty i rozmyśla przez paręnaście sekund nad moim bardziej stwierdzeniem niż pytaniem. W końcu znowu podrywa głowę i po tym, jak odwzajemnia moje spojrzenie, przyznaje zupełnie szczerze:

– Zrobiła to po pewnym czasie. Zresztą wydaje mi się, że wiesz dlaczego.

Bo było to dla niej cholernie trudne.

– Doskonale – potwierdzam cicho i już bez zbędnego przeciągania przechodzę do sedna sprawy: – Ale jeśli powiem ci, że właśnie Aaron chciał ją z powrotem i ciągle szukał kontaktu z nią, jej zniknięcie nie wyda ci się ani trochę dziwne?

Graves przez dłuższą chwilę milczy.

– Sugerujesz, że on zabrał ją do siebie? – pyta nareszcie.

Masując dłonią spięty kark, kontynuuję:

– Według mnie tak właśnie było. Ta wersja może brzmieć nie-dorzecznie, ale spójrz na to tak. Chatfield ma forszę, rozstawia służbę po kątach i nie cofnie się przed niczym. Jak wtedy, gdy podstępem wcisnął jej... – Biorę wdech nosem. – Jak podstępem wcisnął jej tabletki, by straciła dziecko. On nie ma hamulców. Jeśli ją zechciał, po prostu mógł ją sobie zabrać.

Zasłuchany Kayden zakrywa usta dłonią. Wiem, że to, co wypaliłem przed momentem może zdawać się wręcz surrealne, ale jak dla mnie ta układanka ma po prostu sens. Wyczekując odpowiedzi chłopaka, siedzę nadal żałośnie zgarbiony.

– Przez to wszystko i akcję z tabletkami, które podał Love byle tylko nie zostać ojcem, twoja wersja nie brzmi wcale tak niewiarygodnie – stwierdza niewyraźnie Kayden po tym, jak powolnym ruchem zsuwa rękę z ust. – Trzeba to sprawdzić, tylko, cholera. Carson City jest okropnie daleko od Aspen. To grubo ponad osiemset mil.

Wciskam boczny przycisk w telefonie leżącym obok i sprawdzam, czy osoba, z którą się kontaktowałem, odpisała. Wciąż jednak tego nie zrobiła. Wracam więc spojrzeniem do chłopaka i wzruszam z nieprzejęciem ramionami.

– To nie ma znaczenia, sprawdzę tę przeklętą Nevadę tak czy siak – zapowiadam bez zająknięcia, czując, że to musi być ten właściwy trop. – Najpierw jednak pogadam z kimś, z kogo wsparciem i pomysłami na pewno uda mi się to jakoś sensownie ograć.

Kayden wypuszcza oddech z płuc i zaczyna dociekać:

– Ten ktoś na pewno ci pomoże?

Kiwam głową bez choćby dozy zwątpienia.

– Tak – odpowiadam zdecydowanie. – Jestem przekonany, że tak. Ten ktoś pomoże mi zorientować się, czy Love faktycznie tam jest. A potem, jeśli to okaże się prawdą, pomoże mi ją stamtąd wyrwać i przy okazji dać nieźle w kość Chatfieldom i Porterom.

Kayden po paru sekundach wysnuwa trafny wniosek.

– Więc masz zamiar się im odwdziżyć – strzela.

Nie zastanawiam się długo nad odpowiedzią:

– Cholernie.

Przenoszę puste spojrzenie na rozpościerający się u dołu działki, skąpany w ciemnościach las. Gdy patrzę w przestrzeń, dociera do mnie, jak mało mam w sobie samokontroli, kiedy myślę o tym, że stoję z Chatfieldem oko w oko. Zresztą nie tylko z nim. Gavin i Jonathan Porter. Nad nimi też najchętniej bym się pastwił. Ich również najchętniej bym zatłukł.

Za to, że znęcali się nad Love latami. Za to, że zechcieli wciągnąć ją ponownie w bagno, z którego udało jej się parę lat temu wydostać. Jeszcze odwdzięczę się im za tę akcję. Już nigdy więcej nawet przez myśl im nie przejdzie, by ją, kurwa, powtarzać.

Studzę gniew, wiedząc, że muszę teraz chłodno kalkulować. Muszę mieć głowę na karku. Wyciągam rękę i głaszczę psa za uchem, gdy ten wbiega na schody. Gargamel dyszy, a potem układa się pod naszymi nogami, dołączając do wyraźnie niespokojnego grona.

Funkcjonowanie bez Love naprawdę przychodzi mi z trudem, a to dopiero pierwsze godziny. Mogę zgrywać twardziela o stalowych nerwach przy Kaydenie, ale wiem, że jak tylko chłopak wsiądzie do pick-upa, zapewne zaparkowanego na podjeździe, ogarnie mnie ten sam strach.

Boję się, ilu cierpieniom Love nie zdołam zapobiec. Tak bardzo się tego boję.

Przecieram szorstkimi dłońmi twarz i znowu zaciekle rozmyślałam nad tym, co mam teraz robić. A gdy tylko dociera do mnie, że po prostu nie dam rady ślęczeć już dłużej w pustym domu, natychmiast opuszczam ręce i ponownie odwracam się do Kaydena.

– Wyświadczysz mi przysługę? – zagajam.

Szatyn wydaje się odrobinę zbity z tropu.

– Jaką?

– Zajmowałeś się już Gargamelem i Klakierem, więc jeśli ktoś powinienem werbować do tego zadania, to nadajesz się idealnie – mówię naprędce, a potem wyjaśniam, skąd ten mój nagły pośpiech: – Chcę jednak od razu, teraz, zaraz jechać do Denver i pogadać z osobą, o której ci mówiłem, na żywo. Nie mogę i nie zamierzam zwlekać.

Kayden trawi w duchu sens moich słów, powoli przytakując.

– W porządku – zgadza się w końcu.

Wstaję na równe nogi, a za mną Gargamel. Po chwili w nasze ślady idzie również Graves, który ponownie wsuwa dłonie do kieszeni bluzy. We trójkę pokonujemy taras i wchodzimy do domu, gdzie pali się tylko jedna, stojąca lampa. W półmroku zaczynam szukać płaszcza i kluczyków do samochodu, a w międzyczasie zaczynam czuć się jeszcze bardziej nieswojo, przebywając w cichym bliźniaku.

Gdzie podziła się moja Love?

ROZDZIAŁ PIERWSZY



LOVE

Uśmiech nie schodzi z twarzy Gavina, odkąd wsiedliśmy do samochodu. Wydaje się on nawet odrobinę szerszy z każdą pokonaną przez nas milą. Jego widok w lusterku wstecznym przyprowadza mnie o ciarki na plecach, bo nie mam pojęcia, co się za nim kryje.

Zapewne jeszcze inne zamiary, których wolałabym nie znać.

Ścieram z twarzy zaschnięte już łzy i staram się wyprzeć z głowy wspomnienie dzisiejszego poranka. Nie chciałam wracać do słów, które wyszeptał mi Aaron prosto w twarz z nieukrywaną satysfakcją czającą się w oczach. *Będiesz doprawdy piękną panną młodą, Love*, słyszę je mimo prób zagłuszenia ich jednostajnym stukaniem paznokciami o drzwi samochodu.

Mam ochotę gorzko zapłakać. Po raz kolejny i z pewnością nie ostatni, bo wiem, że bycie skazaną na Aarona będzie wiązało się jedynie z nieustającym smutkiem i uczuciem upokorzenia. Muszę jakkolwiek się przed tym uratować.

Ale jak, gdy mają mnie w garści?

– Niestety u nas już wiosna trwa w najlepsze – słysząc zadowolony głos Gavina, moja dłoń mimowolnie zastyga w bezruchu.

Nie mogę przełknąć guli, która nagle wyrasta mi gdzieś w gardle, kiedy dociera do mnie, że nigdy nie słyszałam, by mój brat był tak szczęśliwy jak teraz. Teraz, gdy wraz ze swoim do-

brym przyjacielem zamierza sprawić, bym... stała się po prostu wrakiem człowieka.

Tylko nim.

– Będziesz musiała odzwyczaić się od tej paskudnej pogody w pieprzonym Aspen – kontynuuje z niesmakiem Gavin. – Tak przy okazji chyba bym coś rozjechał po drodze, gdybym musiał fatygować się tam po raz kolejny. To w końcu taki kawał. Ale miło, że nie muszę, bo mamy cię już pod samym nosem.

Podrywam nieznacznie brodę, wypluwając:

– Jesteś odrażający.

– Bo szanuję swój czas? – drwi chłopak.

Odwracam się w stronę szyby i kręcę głową.

– Gavin, ty skaczesz z radości, bo udało ci się zabrać mnie tutaj wbrew mojej woli. To jest odrażające, nie wspominając o tym, co robiłeś mi przez ostatnie miesiące. Nachodziłeś mnie i straszyleś, a przecież jestem twoją...

– Młodsza siostrą – kończy za mnie, a ja przeczuwam, że kącik jego ust unosi się jeszcze wyżej. – Dlatego wtedy starałem się pomóc ci dokonać właściwego wyboru, Love. Zupełnie tak, jak staram się to robić teraz. To Aaron jest najlepszą decyzją. Będzie tym, który cię naprawi, przynajmniej na tyle, ile może. Zadbaj o siebie, kupi to, co wpadnie ci w oko, zrobi z ciebie chociaż trochę ładną sztukę... Zresztą pamiętasz, ile z siebie dawał kiedyś, żebyś właśnie taka była.

Przed oczami stają mi pewne obrazy. Przypominam sobie moment, kiedy leżeliśmy z Aaronem wtuleni w siebie na kanapie, a jego dłoń prześlizgnęła się na moją talię. Wtedy grymas wymalował się na twarzy mojego chłopaka, a spomiędzy jego ust wydostało się wymowne: „Kiedy się tak spasałeś? Cholera, to obrzydliwe”.

Potem odsunął się ode mnie, utkwiał wzrok w komórce i po wymieniał się z Gavinem komentarzami na temat jakiejś według

nich „ślicznotki”. To, jak się zachował, uderzyło we mnie bardzo mocno. Zanim poszłam w ustronne miejsce i wymierzyłam pierwszy cios bezradności w swój odstający brzuch, zapewniłam go, że nie będę już obrzydliwa.

Takich obrazów mam pełno w głowie. Pamiętam każdy raz, kiedy zwracałam posiłek. Długie treningi. Ubieranie się wedle gustu Aarona w kupione przez niego ciuchy. Spóźnianie się na lekcje, gdy wracał nad ranem z domówek i oczekiwał, że go zaspokoje. Słuchanie, jaką jestem niedorajdą.

Po latach mam też świadomość tego, jak bardzo naiwną i manipulowaną byłam nastolatką. Dlatego teraz, w tej sekundzie, jadąc Bóg jeden wie gdzie z Gavinem, nie chcę znów grzęznąć w tym samym bagnie.

Muszę się wyrwać.

– Nie wierzę, że myślisz o sobie jak o kimś dobrym – dodaje pod nosem.

– Nie tylko ja tak o sobie myślę – wzdycha wręcz wyniośle Gavin. – Rodzice wciąż dziękują mi za nakierowanie cię na właściwą drogę. Są tego samego zdania, Love. Że z nim będzie ci dobrze. Dlaczego tylko ty nie jesteś w stanie tego pojąć, skoro przeżyłaś już związek z Aaronem na własnej skórze i wiesz, że naprawdę będzie ci z nim dobrze?

Ironia chłopaka brzmi tak paskudnie, że czuję pod językiem żółć.

– Wiesz dlaczego – mówię, a głos lekko mi drży. – Doskonale wiesz.

Gavin przewraca oczami.

– Nie maź się.

– Ojciec pewnie poklepał cię za to po głowie – rzucam kąśliwie, ale przez mój ton i tak przebija smutek. Chłopak wzrusza nonszalancko ramionami. Nie jest przejęty moim docinkiem, kiedy prowadzi ze swobodą samochód.

– Spróbujesz wyciągnąć to od niego za parę dni, gdy przyjedzie w odwiedziny. Na pewno utniecie sobie milutką pogawędkę, jak za dzieciaka – odpowiada, a następnie parska śmiechem.

Wie, jak wyglądają moje rozmowy z ojcem.

Mimo że wizja odbycia z nim kolejnej napawa mnie tylko obawą, nie zamierzam podczas niej grzecznie mu przytakiwać. Mogę przebywać w pułapce Gavina i Aarona, ale nie dam sobie prac mózgu. Nie po tym, jak Ryder tak wiele trudu włożył w to, by ściągnąć mi z oczu klapki.

No właśnie. Mój ukochany Ryder.

Smutek, który kielkuje nagle w moim sercu, jest zbyt silny, bym mogła go w sobie zdusić i tak po prostu odpowiedzieć siedzącemu za kierownicą Gavinowi. Jak mam to przełknąć? Jak mam przełknąć fakt, że w mojej codzienności nie ma już mojego Rydera? Został od niej odsunięty, jakby był mi kompletnie zbędny. A przecież taki nie jest.

Przecież jest tym, bez którego nie chcę nawet trwać.

Zaciskam usta oraz chowam twarz pod zasłoną ciemnych włosów. Mimo że ciężki oddech pragnie wyrwać mi się ze ściśniętej pasami bezpieczeństwa piersi, dzielnie trzymam go w sobie, bo dobrze domyślałam się, co zwiastuje.

Kolejną porcję łez. Potrzebuję się wypłakać. Wypłakać za przyszłość z mężczyzną, którego kocham całą sobą, a która nie dojdzie do skutku. Za moje piękne wizje, które teraz kruszeją. Za te, które trzymałam w sobie niczym najbardziej drogocenny skarb. Dlaczego nie mogę mieć go nadal dla siebie?

Z transu wytrąca mnie dopiero moment, w którym Gavin parkuje samochód. Wypuszczam w końcu powietrze na widok najzwyklejszego w świecie domu ogrodzonego sporych rozmiarów ogrodem i otoczonego podobnymi budynkami składającymi się na niewielkie osiedle.

O co tu chodzi?, zastanawiam się w myślach.

– Zbieraj szczękę z podłogi – rzuca manierycznie Gavin, wygodniej rozsiadając się na fotelu kierowcy i kładąc sobie dłonie pod głowę. – Domyślam się, że Aaron przyzwyczyił cię do pałaców, ale jakoś przywykniesz do znacznie gorszej opcji. Będziesz się tu kisić, siostrzyczko, dopóki nie upewnimy się, że nikt nie podąża twoim tropem.

– Kisić? To zwyczajny dom – zauważam słusznie cichym głosem.

Gavin nie wygląda, jakby się ze mną zgadzał, gdy na jego twarzy pojawia się grymas.

– Dziura – komentuje, a potem odwzajemnia moje spojrzenie w lusterku wstecznym, znów się uśmiechając. – Cóż, umknęło mi, że przez długi czas mieszkałaś w czymś, co było w równym stopniu biedackie.

Ignoruję jego docinek.

– Do kogo należy? – pytam niewyraźnie.

– Do kuzynki Aarona. Niezły ruch, co?

Gavin mruga do mnie porozumiewawczo, po czym opuszcza rękę i wyciąga z kieszeni spodni komórkę. Obserwuję go z wręcz namacalną niechęcią, gdy korzysta z urządzenia. Przesuwam spojrzeniem po jego sylwetce. Przypakował. Barki skryte pod czarną bluzą wydają się szersze, a widoczne dzięki podwiniętym rękawom przedramiona pokrywają żyły.

Wykrzywiam usta i po tym, jak opieram łokieć na drzwiach samochodu, wplatom drżącą dłoń w splątane włosy. Czuję się jeszcze gorzej, kiedy wciąż tylko potwierdza się, jak skrzętnie uknute zostało przez Gavina i Aarona to ogromne wariactwo. Na co jeszcze się porwą?

Bez cienia emocji wpatruję się w ganek.

– Chciałabym od ciebie odpowiedzi – zaczynam nagle i czuję, jak brat namierza mnie swoim spojrzeniem. Jego ciężar przesuwają się po mojej zmizerniałej twarzy, a ja po chwili namysłu po mału recytuję kilkanaście słów: – Czym tak załazłam ci za skórę?

rę, Gavin? Czym doprowadziłam do tego, że wciąż patrzysz na mnie tak, jakbyś nie mógł znieść mojego widoku?

Dziwnie odepiała przenoszę wzrok na brata. Ten siedzi odwrócony do mnie bokiem i niezmiennie mi się przygląda. To trwa dłuższą chwilę, w trakcie której w powietrzu unosi się pewien rodzaj złowróżbnego napięcia. Czuję je doskonale w maleńkiej przestrzeni auta.

Aż w końcu chłopak bez choćby zająknięcia stwierdza:

– Ojciec zawsze miał stuprocentową rację, że jesteś niczym więcej jak słabym ogniwiem naszej rodziny, którym trzeba tylko poniewierać – słyszę jego ociekający obrzydzeniem ton, ale nie drga mi nawet powieka.

Nie drga mi ona nawet wtedy, gdy sens jego słów dociera wprost do mojego serca i wprawia je w niemiłosierne drżenie. Nie rodzi się we mnie jednak nic. Ani kropla hysterii. Ani gram przejęcia czy popłochu.

Już nie.

W dużej mierze spodziewałam się, że usłyszę coś takiego. Ojciec miał wpływ na wielu ludzi. Gavin wcale nie był wyjątkiem. Jeśli podchwycił, że Jonathan mną gardził, i on zaczął to robić. Robi to cały czas.

Ponownie przenoszę wzrok za szybę.

– Aż dziwne, że Aaron zechciał cię znowu, wiedząc, na co się pisze – dorzuca zaciekawiony Gavin, poprawiając się na siedzeniu. – Ale to w zasadzie nieistotne, z czego wynika jego decyzja. Liczy się to, że jest ona dla nas opłaczalna. Opchniemy cię mu i wyjdzie nam to jak najbardziej na dobre.

Opchniemy cię mu, słyszę w głowie echo jego słów.

– A teraz idziemy – zarządza nagle chłopak, otwierając drzwi auta.

Zwlekam za ledwie parę sekund, zanim podążam jego śladem i wysiadam z mercedesa. Marszczę brwi, kiedy promienie słońca

otulają mnie swoim ciepłem. Nie jestem przyzwyczajona do takiej wiosny, jaka trwa w Nevadzie, więc z początku jest mi nieco duszno.

– Nie martw się sąsiadami, bo nie dość, że reszta domów jest w dalekiej odległości od tego, to jeszcze są zupełnie niezamieszkałe – mówi Gavin. – Nie nastawiaj się też na to, że trafi się okazja, byś mogła stąd zwać, pojechać? – pyta na końcu.

– Jak strasznie cię nie trawię – wypuszczam z ust szept.

Wtem Gavin zatrzymuje się w pół kroku i zaciska pięść w moich włosach. Wyrzucam z siebie niekontrolowane sapnięcie, gdy z jej pomocą bez trudu i gwałtownie przyciąga moją twarz do swojej. Moja klatka piersiowa podskakuje raz po raz, kiedy brat trzyma mnie przy sobie i wypala jadowitym tonem:

– Nie w tym chciałem się, kurwa, upewnić.

Nagle zderzam się raptownie z zaniedbanym trawnikiem. Mam zwieszoną głowę w dół, znajduję się na klęczkach i błędzę rozbieganym wzrokiem po suchych źdźbłach, a włosy rozsypują mi się po całej, na pewno bladej od szoku, twarzy.

Gavin powalił mnie bez choćby minimalnego wysiłku.

– W tym Aspen chyba za bardzo cię rozpuścili – cedzi przez zęby, ale zanim zdąży dodać coś jeszcze, po ogrodzie roznosi się kolejny głos, od którego włosy na karku stają mi na baczność. Sztywnieję, kiedy on się odzywa:

– Nadal jest okropnie niezdarna?

Bardzo powoli odwracam głowę w stronę, z której dobiegł dźwięk. Na widok idącego w naszą stronę aż przesadnie leniwym krokiem Aarona mój żołądek maleje do naprawdę niewielkich rozmiarów. Mężczyzna prezentuje się bardzo dostojnie. Prezentuje się zupełnie tak, jak prezentował się w przeszłości. Jak ktoś, kto się liczy.

Gavin prychnął i wyrzucił:

– Dlatego chujowa z niej tancerka.

Aaron wzdycha z dezaprobatą. Wbijam w niego wzrok. Mój koszmar poprawia okulary przeciwsłoneczne tkwiące na nosie i staje tuż obok swojego przyjaciela.

– Złotko, rusz się z tego pieprzonego trawnika – rozkazuje mi i nie spuszcza ze mnie wzroku, zaciekłe nad czymś rozmyślając. Zdradza to sposób, w jaki marszczy czoło, a pomiędzy jego brwiami klaruje się pojedyncza bruzda.

Powoli podnoszę się do pionu na wciąż wiotkich nogach. To poniżające, że jeszcze przed sekundą klęczałam przed nimi na brudnej ziemi. Mimo tego uporczywego uczucia upokorzenia krążącego w moich żyłach zadzieram brodę.

Aaron zerka wtedy sugestywnie na Gavina.

– Możesz się zmywać – mówi krótko.

Mój brat odpowiada mu tylko skinieniem. Potem, nie patrząc nawet w moim kierunku, rusza w stronę podjazdu, na którym zaparkował swojego mercedesa.

A ja zostaję sama. Sama z *nim*.

Aaron ściąga powoli okulary z nosa, a jego wolna dłoń nagle dotyka mojego boku. Próbuję się odsunąć, kiedy prześlizguje się ona w górę i w dół, ale brunet wzmacnia chwyt i zaczyna kierować się ze mną przy sobie w głąb ogrodu.

– Nasze poranne spotkanie nie było takie, jakie chciałbym, by było jako pierwsze po latach – zaczyna po krótkiej chwili. – Ty ryczałaś, ja powinienem był wykazać się trochę większym zrozumieniem. W końcu zmiany w twoim życiu zaszły szybko. Ale tak trzeba było, wiesz?

Nie mogę pojąć, jakim cudem Aaron wyrzuca z siebie kolejne zdania z niezachwianym spokojem i wręcz perfidną manierą. Robi to tak, jakby miał się za kogoś nieskazitelnego, kogoś, kto nie posunął się wcale do czegoś okropnego. Nie odpowiadam mu na to absolutnie niczym. Trzymam całą gorycz w sobie.

W przypadkowym momencie mężczyzna zatrzymuje się i chowa gwałtownie w swoich dłoniach moje policzki tak mocno,

że aż podskakuję na jego nagły ruch. Jego dotyk jest okropnie zdecydowany i bezkompromisowy. Jest wstrętny.

W pierwszej chwili próbuję się jakkolwiek od niego odpędzić. Potem, gdy moje próby nie przynoszą rezultatu, spoglądam z obawą prosto w szare oczy Aarona. Wyłapuję w nich wyłącznie ulgę w najczystszej postaci. Nie mam zielonego pojęcia, z czego może ona wynikać, ale strasznie się jej boję.

Aaron skupia się wyłącznie na mnie.

– Tak trzeba było, bo chciałem cię na już. – Mężczyzna wyraźnie akcentuje ostatnie słowo, a tym samym tylko potęguje strach, który się we mnie cały czas kotłuje. – Potrzebowałem cię na już.

Gorąco wzbiera mi pod powiekami. Jeszcze mocniej uderza we mnie ta paskudna świadomość, że zostałam zapędzona gdzieś, skąd jeszcze parę lat temu uciekałam, ile tylko miałam sił w nogach. A ona boli. Okropnie boli.

Policzki mrowią mnie od siły nacisku smukłych męskich palców.

– Zbyt długo nie miałaś pożywki z doprowadzania kogoś do ruiny, co? – wyduszam z siebie łamliwym głosem. – Zbyt długo jej nie miałaś... – powtarzam znowu.

Siła uścisku Aarona wzrasta, a ja wypuszczam z siebie zdławiony jęk.

– Złotko... – wydycha brunet wprost w moje rozchylone wargi.

Uciekam spojrzeniem od jego oczu. Patrzę tam, dokądkolwiek jest w stanie dosięgnąć mój wzrok. Na zaniedbany ogród, bezchmurne niebo, a nawet oślepiające słońce, którego widok wzmaga we mnie chęć, by się rozkleić. Gdy Aaron tak mnie przy sobie trzyma, jeszcze bardziej zakotwicza we mnie przekonanie o tym, że nie zdołam się mu wyrwać.

Nie zdołam tego zrobić.

– Nie chciałem mieć jej z kogoś – przyznaje spokojnie chłopak, obejmując całymi dłońmi moją twarz. Jego kciuki docierają tuż

pod kąćki moich oczu i teraz muszę już skoncentrować uwagę jedynie na nim, bo tylko to mi zostało.

Załamana kręcę błyskawicznie głową.

– Nie kończ... – proszę szeptem.

Mam wrażenie, jakby w tej jednej chwili niewinny powiew lekkiego wiosennego wiatru miał bez trudu mnie zdmuchnąć. Kulę się w sobie, ostatkiem sił trzymając na nogach, i wciąż z dołu wpatrując się w Aarona.

Kiedy on ciągnie:

– Tylko widok twojego cierpienia daje mi wytchnienie, kochanie. – Jego miarowy oddech rozbija się na mojej skórze przez następne sekundy, a moje serce powoli przestaje znosić to zgoła bezboleśnie.

Kładę rozdygotane dłonie na torsie Aarona. Odpycham go i z żałościem cichym jękiem staram się wycofać. Jest pokrecony. Jest wariatem. Natychmiast owija palcami przegub mojej ręki i wyrasta ponownie tuż przede mną.

– Pamiętasz, jak ty też mnie chciałeś? – mówi mi to wprost do ucha, a później trąca swoim nosem przestrzeń za nim. – Było tak, Love.

Ponownie kręcę histerycznie głową, próbując się od niego odpędzić.

– To nie jest już aktualne. – Mój głos znów się łamie.

– Potem mnie potrzebowałaś.

– To też nie jest już aktualne – powtarzam jęśliwie.

Zacięty, przesuwający się po mojej twarzy wzrok mężczyzny zaognia we mnie obawę. Włosy zachodzą mi na twarz, kiedy parzymy na siebie bez słów. Aż w końcu Aaron unosi wolną rękę i zbierając mi sprzed nosa zabójczo powolnym ruchem ciemne pasma, rzuca w moim kierunku krótkie żądanie:

– Wysił się, by było.

Wzbiera we mnie lichy protest.

– Jak, skoro doskonale wiem, że chcesz się nade mną pastwić, byle sobie ulżyć? – pytam słabym szeptem, czując na spierzchniętej wardze mokry ślad.

Przez głowę przebiega mi myśl, że nawet nie zarejestrowałam, kiedy zdążyłam rozkleić się na dobre. Czuję, jakby moja krtań była owinięta niewidzialną pętlą, gdy mimo szczypiących oczu nieprzerwanie patrzę na Aarona.

– Jak, skoro kocham kogoś, kogo nie przypominasz chociaż w maleńkim calu? – W pierwszej chwili nie wiem, czy wypowiedziałam te słowa w duchu, czy po cichu w tę niedużą przestrzeń pomiędzy nami.

W drugiej zaś Aaron zaciska szczękę, a we mnie uderza pewność, że zdołałam wykrztusić z siebie tamto retoryczne pytanie. Mężczyzna szarpie gwałtownie moją ręką, zanim pozwala jej opaść bezwiednie w dół.

Cofam się o krok i chwieję na miękkich nogach, gdy brunet wydaje z siebie wściekły ryk. Serce znowu dudni mi jak dzwon. Strach rodzi się w niemalże każdym skrawku odrętwiałego ciała. Aaron zbliża się i patrzy na mnie gniewnie z góry.

– On też nie jest czysty jak łą! – wrzeszczy mi w twarz, owładnięty prawdziwą, nieokrzesaną furią. – Callahan nie jest czysty jak pieprzona łą!

Przymykam powieki. Stojąc jak słup soli przed rozjuszonym mężczyzną, trawię pomału w duchu sens jego słów. Callahan. Aaron wypowiedział nazwisko mojego Rydera. Zrobił to. Uchyliłam powieki, a chłopak wtem styka nasze czoła.

Cała aż przesiąkam niepokojącym napięciem.

– Jasne, że śledziłem twoją sielankę w Aspen – cedzi przez zaciśnięte zęby, a słowa opuszczające jego usta sprawiają, że mam ochotę rozpaczliwie zawyć. Aaron napiera na mnie mocno, a ja doskonale to czuję.

Doskonale czuję bijącą od niego gorycz.

– Wiem dużo – dodaje w pośpiechu, tak samo wściekle, a jego oczy przenikliwie śledzą moje. – Niech tylko ten pajac się tu potatyguje, a go zrujnuje. Romans z pacjentką brzmi nagannie, nie uważasz?

Rozchylam oszołomiona usta. Mam wrażenie, że dławi mnie szloch.

– Nie... – wyszeptuję z oporem jakby sama do siebie.

On wie. On o wszystkim wie.

– Nie zadrzy mi powieka, gdy postaram się, by to wypłynęło – wypluwa złowieszczo Aaron, a jego wargi uderzają prowokująco o moje. – Przysięgam, że, kurwa, nie zadrzy mi powieka.

Biorę pierwszy wdech. Za nim zaczynam brać naprędce kolejne. Aaron trzyma mnie i Rydera w garści. Mógłby pozwolić naszej tajemnicy wydostać się na światło dzienne. A wtedy reputacja Rydera... Boże, nie.

Staram się nie zapłakać. Ale to jest silniejsze ode mnie.

– Proszę – łkam głośno, chwytając trzęsącymi się dłońmi kołnierz jego koszuli.

Mnę go pomiędzy palcami, z czołem przytkniętym do czoła Aarona. Panikuję. Panikuję tak jak nigdy, bo wizja tego, jak moja osoba rzuca cień na dobre imię Rydera miażdży mnie w każdym znaczeniu tego słowa.

Wiatr wzbiera na sile. Słyszę jego szum obok swojego płaczliwego pociągania nosem. Aaron unosi dłoń i przesuwając knykciami po mojej szyi. Chwytam go mocniej za kołnierz, dając mu niewerbalny znak, by skończył to robić.

A on wzdycha mi w usta i rzeczywiście wycofuje rękę.

– Złotko, kiedy ty powinnaś tego chcieć za wszelką cenę. – W jego głosie tkwi zrezygnowanie i... współczucie? Zbita z tropu błądzę spojrzeniem po jego twarzy. *Skąd u niego przekłete współczucie?* – On cię paskudnie wykorzystywał. Byłaś dla niego cudną zabaweczką.

Krzywię się na jego słowa.

– Nie robił tego – zaprzeczam żałośnie.

Mój Ryder był moim wybawieniem. Właśnie tym.

– Jego urok cię omamił – ciągnie Aaron, a ja nie domyślam się, do czego mógłby dążyć. Bo ewidentnie czegoś próbuje dopiąć, kiedy wciąż uparcie trzyma mnie przy sobie. Kompletnie rozstrojona wypuszczam niemrawy szept:

– To ty jesteś moim koszmarem.

– On również. – Mężczyzna nie ma zamiaru zakończyć tematu Rydera, zwłaszcza kiedy dorzuca: – Na końcu postąpiłby z tobą zupełnie tak jak z tamtą.

Spoglądam na niego z niezrozumieniem.

– Tamtą? – wydycham ledwie słyszalnie.

Aaron ściąga brwi. Początkowo lustruje mnie w absolutnym milczeniu, z nieodgadnioną miną. Później odsuwa się na pewną odległość, rozdzielając nasze czoła. Zaalarmowana opuszczam natychmiast obie ręce wzdłuż tułowia, nie przestając gonić za spojrzaniem mężczyzny.

– Złotko? – dobiega mnie jego ostrożny ton. – Czy ty naprawdę nie masz pojęcia o Peyton Howard?

Lód pod moimi stopami chyba właśnie pęka, gdy Aaron szuka w moich oczach niemej odpowiedzi. Wydaje mi się, że tkwię w jakimś dziwnym amoku, gdy mężczyzna po dłuższej chwili ciszy docieka z niedyskretnym politowaniem:

– Sądziłaś, że byłaś pierwszą pacjentką, którą wypatrzył sobie Ryder Callahan?